CZWARTEK Nr 144 11 XII 1980 Cena 1.50

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Do wszystkich dziewcząt i chłopców – rodaków mieszkających stale lub czasowo przebywających poza granicami Polski – Czytelników „Świata Młodych"!

Na łamach naszej gazety otwieramy LIGĘ REPORTERÓW ZAGRANICZNYCH

Piszcie do nas o sobie i swoich rówieśnikach. Naszych Czytelników w kraju interesują informacje, reportaże i zdjęcia obrazujące:

- działalność Waszą i Waszych najbliższych;
- zwyczaje w szkołach i w organizacjach, do których należycie;
- zdjęcia, rozrywki, gry i zabawy pozaszkolne;
- zwyczaje i obrzędy ludowe;
- przyrodę, technikę i architekturę.

W tym numerze „Świata Młodych", na str. 2, drukujemy korespondencję Ewy Zygadło z Rabatu. Spodziewamy się, że i Wy do nas napiszecie. Oczekujemy Waszych listów!

REDAKCJA

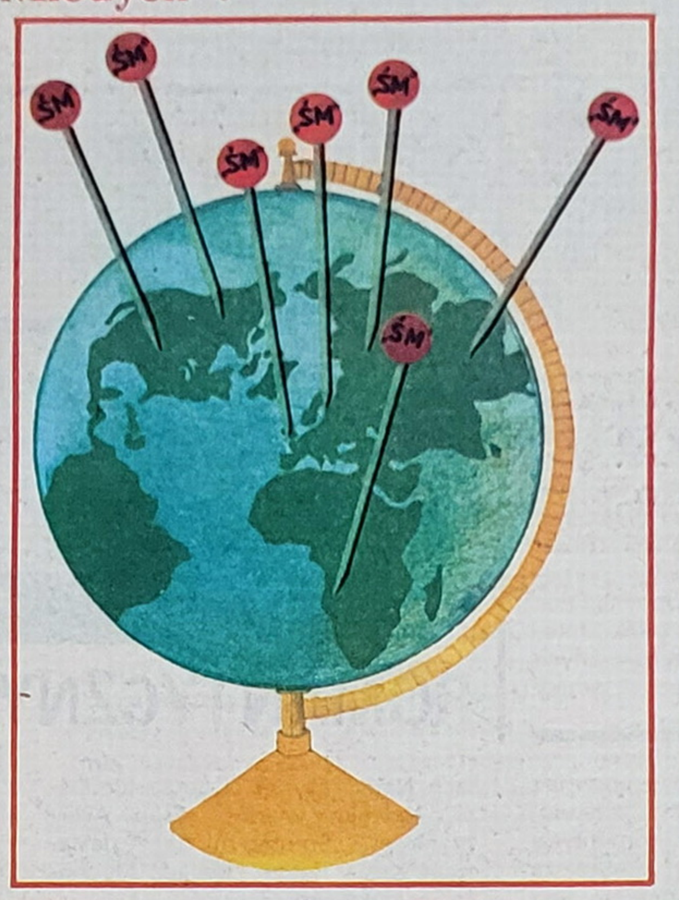

Rośnie następca Puchalskiego?

Przedstawiamy

FOTO-TROFEA SŁAWKA WĄSIKA CZŁONKA KLUBU PTAKOLUBÓW

Oto jedno z nich. Na zdjęciu – ogrzewający swe pisklęta grubodziób, dość rzadki ptak wróblowaty o dziobie jak obcążki, służące do rozłupywania twardych nasion graba (stąd druga nazwa ptaka – grabołusk). Ptak to niełatwy do spotkania i podejścia, a i jego gniazdo bardzo trudno znaleźć. Tym większe brawa dla naszego czytelnika, jego cierpliwości i fotograficznych umiejętności. Inne prace tegoż autora – na str. 6. (**tok**)

Pomylono się „tylko" o 800 lat

LUBLIN (PAP). Szczebrzeszyn w woj. zamojskim prawa miejskie uzyskał w końcu XIV wieku. Od tego czasu zaczęto więc liczyć jego historię. Tymczasem archeolodzy, prowadzący od 2 lat badania, przesuwają metrykę tego miasteczka o blisko 800 lat, a więc do VI w. naszej ery.

TO JUŻ OSTATNI, CO TAK NOŻYCZKI OSTRZĄ

Pan Stanisław Drabik jest jednym z kilku szlifierzy, których praca polega na tym, że chodzą od podwórka do podwórka i charakterystycznym dzwonieniem oznajmiają swoją obecność i chęć świadczenia drobnych usług. Zawsze znajdą się w domu tępe nożyczki, nożyk od maszynki do mielenia mięsa czy też nóż, którym codziennie kroimy chleb.

Pan Stanisław ma dziś 65 lat, zna swój fach doskonale, a zaczął to swoje „ostrzenie domokrążne" w 1935 r. Można go jeszcze spotkać na Woli, Bemowie, Żoliborzu i w Śródmieściu.

Przed wojną było więcej takich fachowców. Po podwórkach chodzili bednarze, szklarze, luciarze i oni – szlifierze. Cóż, dziś już nikt beczek nie zamawia, po szklarza idzie się do ADM lub „Pyroflexu", a garnków też już nikt nie lutuje. Domokrążne usługi przeszły do legendy. Tylko gdy komuś stępią się nożyczki albo nóż, wówczas starsze gospodynie, te, które pamiętają dawne czasy, wzdychają tylko do... *„noooże, ostrzę, nożyyyczki..."*

Fot. **Dariusz Kowalewski**

BERLIN (PAP). Pałace i ogrody Poczdam – Sans-Souci, odwiedzane rokrocznie przez ok. 2 mln gości zasłyną wkrótce jeszcze jedną atrakcją: w obrębie zespołu zabytkowych obiektów powstaje muzeum filmu z bogatą ekspozycją poświęconą rozwojowi sztuki filmowej. Placówka zostanie urządzona we wzniesionej w 1685 r. oranżerii, przeznaczonej w pół wieku później na królewską stajnię. Przez ostatnie cztery lata przechodziła ona gruntowną rekonstrukcję i restaurację, której wraz z miejscowymi fachowcami dokonali polscy konserwatorzy zabytków (patrz zdjęcie). Muzeum filmu NRD zostanie otwarte w kwietniu 1981 i, jak oczekują jego twórcy, ma wszelkie szanse by stać się jednym z najatrakcyjniejszych. (**tem**)

Fot. **J. Łopuszyński**

Choć jeszcze nie istnieje, organizatorzy przewidują, że będzie cieszyło się ogromną popularnością!

DESANT na Kopcu Kościuszki!

KRAKÓW (PAP). W ostatnią fazę wykroczyły prace przy zabezpieczeniu krakowskiego Kopca Kościuszki. Na jego stokach utworzyły się 1,5-metrowej szerokości groźne pęknięcia. Do akcji wkroczyli żołnierze 6 Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej. Wywiercili na stokach kopca 400, 10-metrowych otworów, zamontowali w nich stalowe zbrojenia, a następnie wypełniano otwory betonem. Wzmocnienie to pozwoli na zahamowanie procesu erozji kopca. Żołnierze uzupełnili także ubytki ziemi na kopcu. Dowieźli w tym celu 150 wywrotek ziemi. (**kż**)

Filmy dla szkół zawodowych to rzetelna pomoc w przyswajaniu wiedzy

Od ośmiu lat działa w Warszawie Centralny Ośrodek Filmów Dydaktycznych specjalizujący się w produkowaniu filmów dla potrzeb szkolnictwa, przede wszystkim zawodowego.

Ośrodek ten wyprodukował dotychczas ponad 250 10-minutowych filmów, przeznaczonych dla szkół zawodowych, głównie typu mechaniczno-elektrotechnicznego. Filmy te, wykonywane głównie na zlecenie Ministerstwa Oświaty i Wychowania, konsultowane są – jeszcze we wstępnej fazie ich produkcji, m. in. scenariusz, z nauczycielami, dzięki czemu stanowią cenną pomoc naukową. Wiele z tych filmów może być wykorzystywanych również w szkołach rolniczych różnych typów.

Wszystkich, których zainteresować mogą te filmy i ich ewentualny zakup lub wypożyczenie, odsyłamy do **Centralnego Ośrodka Filmów Dydaktycznych w Warszawie**, ul. Śniadeckich 17 (numer kodu pocztowego 00–654). („Dziennik Ludowy")

(CAF). Przed sezonem zimowym w Zakładach Sprzętu Sportowego „Polsport" w Bielsku-Białej pełna gotowość. Choć niezupełnie tak, bo w tych zakładach sprzęt sportowy wytwarzany jest przez cały rok; początek zimy oznacza tylko wzmożone nań zapotrzebowanie.

„Polsport" w Bielsku-Białej produkuje rocznie ok. 100 tysięcy par nart dla dzieci, ok. 150 tysięcy kijów hokejowych, ok. 215 tysięcy wiązań narciarskich. Czy to zaspokoi potrzeby amatorów „białego szaleństwa" – zobaczymy (**kl**)

▶

Na zdjęciu: już kosmetyka, czyli malowanie nart dziecięcych

REDAKCYJNA POCZTA

Niepotrzebnie bałam się szkoły średniej

Już od szóstej klasy podjęłam decyzję, że po szkole podstawowej będę uczęszczała do LO. W siódmej i ósmej klasie nauczyciele co krok straszyli nas wizją szkoły średniej. A najbardziej tych, którzy zdecydowali się na LO. Doszło do tego, że w ósmej klasie, gdy przyszło do wypełniania ankiet, zawahałam się czy dobrze czynię. Ale tak bardzo chciałam chodzić do wymarzonego liceum, że mimo wszystko podałam jego nazwę w ankiecie.

Gdy 1 września przekroczyłam próg nowej szkoły, byłam ciężko przestraszona. Najbardziej obawiałam się pogardliwego stosunku starszych uczniów do nas – „pierwszaków". Kiedy teraz myślę o tych pierwszych dniach, śmiać mi się chce z samej siebie. Wszyscy uczniowie klas starszych odnosili i odnoszą się do nas jak do równoletnich partnerów. List swój kieruję do uczniów kończących w tym roku szkołę podstawową. Nie sugerujcie się opowiadaniami kolegów i nauczycieli o szkołach średnich.

A co do profesorów – nasi okazali się tak wspaniali, że przez pierwsze dwa tygodnie nie stawiali dwój, abyśmy spokojnie mogli przystosować się do nowych wymagań. Fakt, że trzeba się dużo uczyć. **Ale w szkole średniej jest naprawdę fajnie!**

Agnieszka z LO im. Lelewela
klasa Ib

Z koleżankami i kolegami z domów dziecka pragną korespondować:

11-letnia Agata Cimaszewska, Wolka Woniewska 21, 18-209 Jeńki, woj. Białystok ● 14-letnia Barbara Galińska, interesująca się sportem, a także muzyką rozrywkową, **ul. Chorzowska 16/28, 41-902 Bytom i Bożena Swierad ul. Tuwima 5a/11, 41-902 Bytom ● 16-letnia Anna Kowacz,** która pasjonuje się biologią zam. 26-110 Skarżysko Kamienna, ul. B. Prusa 15 m 9.

Wzorowi uczniowie, a koleżeństwo

Chodzę do VII klasy. Uczę się średnio. Kiedy zgłaszam się do odpowiedzi z jakiegoś przedmiotu, to wzorowi uczniowie dziwią się temu, i co gorsze komentują to w bardzo przykry sposób. Gdy mam kłopoty z nauką, na przykład czegoś nie rozumiem, nigdy nie mogę liczyć na pomoc moich szkolnych koleżanek i kolegów. Wyjątek stanowi jedna osoba w klasie, która nie odmawia mi tej pomocy. Dlaczego tak mało jest w nas życzliwości, bezinteresowności? Może czytelnicy „Redakcyjnej Poczty" wypowiedzą się na ten temat i wskażą przyczyny takiej postawy „tych lepszych".

Beata

„Szczyt przyjaźni? Nie być pokłóconym"

Na imię mam Anka, skończyłam VIII klasę. Uczę się bardzo dobrze. Mam ciemne, krótkie włosy i niebieskie oczy. Jestem szczupła, mam 164 cm wzrostu i ważę 46 kg. Podobno jestem miła, towarzyska, wesoła i dość ładna. Potrafię być wytrwała i systematyczna, ale czasem zachowuję się jak „szalona". Lubię sport, taniec, dyskusje. Zbieram komiksy, znaczki, ciekawe wiersze, powiedzenia i myśli. A oto dwie z nich, o przyjaźni: „Najpewniejsi przyjaciele – wrogowie twoich wrogów". „Szczyt przyjaźni? Nie być pokłóconym".

Anka Pluta
ul. Stachiewicza 29/119
31-303 Kraków

MOJE PROPOZYCJE dla naszej gazety

Jestem drużynowym w szczepie młodszoharcerskim i posiadam stopień organizatora. Pragnąłbym wypowiedzieć się na temat artykułów zamieszczanych w „Świecie Młodych". W podtytule gazety czytamy: „Harcerska Gazeta Nastolatków". Uwagę zwracają trzy odznaczenia, a jednym z nich jest Krzyż za Zasługi dla ZHP. Okazuje się jednak, że materiałów dotyczących harcerstwa jest bardzo mało.

Wypowiedź moją chciałbym poprzeć przykładami z 134 numeru, z dnia 18.11.1980 r. Znowu zawiódł moje oczekiwania. Miałem nadzieję, że przeczytam coś więcej o harcerstwie, znalazłem natomiast kilka rzeczy całkiem niepotrzebnych. Na przykład fotoreportaż p. Wojciecha Wróblewskiego pt. „13-letni woltyżer" nic istotnego nie wnosi, niczego nie uczy (nie chciałbym obrazić pana Wróblewskiego) a zajmuje 12,4 proc. całej powierzchni gazety. Następny materiał zupełnie moim zdaniem niepotrzebny, to „Najmniejsza encyklopedia tworzyw sztucznych – tworzywa melaminowe". Zastanawiam się też, czy zamiast opowiadania „Ida sierpniowa" nie powinno ukazywać się opowiadanie o harcerzach? Wiele artykułów, fotoreportaży i informacji zamieszczanych w „Świecie Młodych" porusza tematy nie związane bezpośrednio z harcerstwem, ale są przydatne na przykład w pracy na zbiórce. Do takich materiałów zaliczam bardzo ciekawą informację „Orzeł Biały".

Od wielu lat brak jest materiałów i podręczników nie tylko szkolnych ale i harcerskich. Książki takie jak „Twój zastęp" lub „Drużyna i ja", to marzenie. Czy nie można by na łamach harcerskiej gazety wprowadzić stałego kącika, w którym każdy harcerz – i nie tylko – mógłby zapoznać się z tradycją, symbolami, obrzędami i historią ZHP? Każdy harcerz zdobywający krzyż musi wykazać się wiadomościami o krzyżu, lilijce, sznurach służbowych itd. Skąd ma czerpać te informacje?

Z harcerskim pozdrowieniem
Czuwaj!

PAWEŁ JURKIEWICZ
z Warszawy

Nasza Czytelniczka, Ewa Zygadło pisze z Maroka

POLSKI WIECZÓR ROMANTYCZNY W RABACIE

Nareszcie nadszedł dzień premiery naszego programu zatytułowanego „Wieczór romantyczny". Pomieszczenie, w którym za chwilę rozpocznie się premiera, jest pięknie udekorowane. Ściany ozdabiają śliczne rysunki wykonane przez architekta, pana K. Rzechowskiego, na stołach – rzeźbione, oryginalne świeczniki. Blask bijący od zapalonych świec wprowadza widzów w atmosferę minionych czasów romantyzmu.

Sala wypełniona jest po brzegi. Z magnetofonu wydobywają się pierwsze akordy V Symfonii Beethovena. Jako gospodyni tego przedstawienia, pierwsza wchodzę na scenę. Muzyka milknie – recytuję sonet A. Mickiewicza „Do wizytujących" oraz witam zebranych gości, pracowników ambasady polskiej i Marokańczyków – naszych przyjaciół z Rabatu.

W chwilę potem na salę wchodzi grupka młodzieży: dziewczęta ubrane w długie piękne spódnice i takież bluzki oraz chłopcy w oryginalnych strojach. Nadia recytuje „Odę do młodości". Następne wiersze: „Stepy Akermańskie" i „Smutno mi, Boże" deklamuje Kasia. Potem „Ballada Alpuhara" w wykonaniu Jacka.

Wśród burzy oklasków schodzimy ze sceny. Po chwili drobnym kroczkiem wbiega Kenza w oryginalnym stroju baletnicy, tańcząc do melodii pochodzącej z baletu Leo Delipesa „Copelia".

Drugą część programu rozpoczynają uczniowie klasy piątej bajką Mickiewicza pt. „Przyjaciele". Najmłodsi uczestnicy wieczoru z wielkim przejęciem grają powierzone im role. Następnie wchodzi na scenę Telimena. To Marysia, jakże zmieniona pod wpływem innego ubioru, uczesania, a także charakteryzacji. Przechodzi wzdłuż sali, zerkając co chwilę w lusterko, po czym przysiada na brzegu fotela. Wbiega też Zosia, gra ją Agnieszka. W tej scenie Telimena daje różne wskazówki swej wychowanicy na temat zachowania się w „wielkim świecie". Obydwie nasze aktorki podbiły serca widzów. Wieczór dobiega końca. Jeszcze tylko wręczenie drobnych upominków i kwiatów uczestnikom i organizatorom, pożegnanie gości.

W programie wspólnie wystąpiła młodzież polska i marokańska: Ewa ZYGADŁO, Nadia BENSOUDA, Alam BOUHAOULI, Jacek KAŁUCKI, Katarzyna GRABSKA, Katarzyna SUCHECKA, Jacek SUCHECKI, Joanna GARSTKA, Joanna ANISIMOWICZ, Małgorzata GERINGER, Kenza El KERDOUDI, Piotr BOROWIECKI, Adam UMIEJEWSKI, Agnieszka ERYDECKA, Maria TATOŃSKA, Agata MASEŁBAS, Cezary BOROWIECKI, Marek ŚWIERKOSZ. Nasze widowisko wystawione było trzykrotnie i obejrzało je w sumie 150 osób. Organizatorem i kierownikiem całości była pani mgr Krystyna FRYDECKA – nauczycielka języka polskiego, a spektakl przedstawiła Szkoła Polska przy Ambasadzie PRL w Rabacie – stolicy Królestwa Maroka.

Czy warto być społecznikiem?

NAUKA ALBO PRACA SPOŁECZNA?

Po przeczytaniu wielu listów na temat „Czy warto być społecznikiem", stwierdzam, że warto. U nas w szkole wywieszane są hasła tygodnia (społeczne) i każda klasa ma „wyjść" z własną inicjatywą. Nasza klasa (VIc) zawsze jest chętna do tych spraw, nawet, gdy np. pomoc w domu starców skończyła się, chodziliśmy tam jeszcze. Nasza pani, młoda (uczy pierwszy rok) pragnąca zmieniać świat na lepszy, pomaga nam i zachęca do tego, byśmy byli właśnie takimi społecznikami o jakich Tobie „ŚM" chodzi. Chętnych do pracy nie brakuje. Zdziwiona niektórymi listami na ten temat, stwierdziłam, że chyba tylko w towarzystwie uczynnych, chętnych do pracy społecznej towarzyszy, można być społecznikiem.

IWONA KRZEMIŃSKA
Kutno

Świetlicowe sprawy

PROPONUJĘ godzinę ciszy

Po przeczytaniu wypowiedzi moich koleżanek i kolegów o szkolnych świetlicach, doszłam do wniosku, że świetlica jest potrzebna. Trzeba tylko dobrze zorganizować czas życia świetlicowego. Moim zdaniem należy jedną lub dwie godziny poświęcić na odrabianie lekcji. Dla wszystkich, bez wyjątku! Ci którzy szybko je odrobią, albo nie chcą odrabiać w świetlicy, niech czytają książki. Młodsze dzieci mogłyby się zgłaszać do swoich starszych kolegów, gdy mają trudności z odrabianiem jakichś zadań. Uczniowie także muszą dbać o to, aby nie przeszkadzać innym. Czas spędzony w świetlicy powinien być czasem spędzonym jak najmilej. A to zależy zarówno od nauczycieli jak i od samych uczniów.

ELA ANDRZEJCZAK
Łódź

Na życzenie Czytelników podajemy adresy aeroklubów regionalnych PRL

OD LOTNIKA DO KOSMONAUTY

Wielu z nas marzy, by zostać kosmonautą i polecieć w kosmos – pisze Tomek Grycan (ul. Witebska 14, 51–351 Wrocław). – Droga do tego celu wiedzie przez aeroklub, po prostu najpierw trzeba zostać lotnikiem. Jak to zrobić? Zaraz po szkole podstawowej trzeba zgłosić się do aeroklubu regionalnego, w którym zdobędziecie pierwsze ostrogi „człowieka przestworzy" Dlatego też dla tych wszystkich, którzy chcą zrealizować swoje marzenia o lataniu zamieszczamy adresy aeroklubów.

Aeroklub białostocki: Białystok – lotnisko Krywalny.
„ bielsko-bialski: Bielsko-Biała – lotnisko Aleksandrowice
„ bydgoski: Bydgoszcz, ul. Pomorska 1a.
„ częstochowski: Częstochowa, ul. N.M.P. 9
„ dęblińsk: Dęblin – aeroklub wojskowy przy OSL
„ gdański: Gdańsk-Wrzeszcz, Aleja Zwycięstwa 44
„ gliwicki: Gliwice-lotnisko
„ grudziądzki: Grudziądz, ul. Świerczewskiego 54/56
„ jeleniogórski: Jelenia Góra, ul. 1 Maja 32
„ kielecki: Kielce, ul. Staszica 14
„ krakowski: Kraków, ul. Zwierzyniecka 26
„ kujawski: Inowrocław-lotnisko
„ lubelski: Lublin – lotnisko Radowiec
„ łódzki: Łódź, ul. Piotrkowska 78
„ mielecki: Mielec-osiedle WSK
„ opolski: Opole, ul. Mickiewicza 4
„ ostrowski: Ostrów Wlkp. lotnisko Michałków
„ podhalański: Nowy Sącz, ul. Kościelna 2
„ podkarpacki: Krosno – lotnisko
„ pomorski: Toruń, Rynek Staromiejski 10
„ poznański: Poznań, ul. Niezłomnych 1
„ radomski: Radom, ul. 22 Lipca 37
„ rzeszowski: Rzeszów, pl. Wolności 2
„ słupski: Słupsk, ul. Grottgera 18
„ stalowowolski: Stalowa Wola – Dom Hutnika
„ szczeciński: Szczecin, ul. Św. Wojciecha 12
„ śląski: Katowice – lotnisko
„ tatrzański: Nowy Targ – lotnisko
„ mazowiecki: Tomaszów Maz. Aleja Wojska Polskiego 57
„ warmińsko-mazurski: Olsztyn – lotnisko
„ warszawski: Warszawa, ul. Miedzeszyńska 4
„ wrocławski: Wrocław, ul. Lotnicza 14/16
„ zielonogórski: Zielona Góra, ul. Sulechowska 37.

Fot. W. Wróblewski

A ona upiera się przy swoim

Mówią o niej – „harcerka". Odkąd Hanka została instruktorem ZHP, na jej zbiórkach nie było ani nudy, ani sztampowych zajęć. Nie było beznadziejnych nauk, jaki to harcerz być powinien i dlaczego. Był za to entuzjazm, inaczej chyba nazwać tego nie można. Była radość i coś ciepłego w tym jej harcerstwie. Hanka jest jeszcze uparta. Jeszcze.

W harcerstwie jest już prawie od dwudziestu lat, bo jeszcze jako sześcioletni konus biegała na zbiórki, włóczyła się ze swoim starszym bratem po obozach, rajdach, biwakach. Przeszła wszystkie szczeble harcerskiej „kariery" – od „szóstkowej" do komendantki szczepu w jednej z lubelskich szkół podstawowych. Dzisiaj ze wstydem trochę i ze smutkiem przyznaje, że teraz do harcerstwa nie wstąpiłaby i komendantowania też ma dosyć. Dosyć lub prawie dosyć. A jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się jej, że w harcerstwie zwojować można cuda.

Nieufność

Kłopoty zaczęły się już pierwszego dnia po objęciu przez nią funkcji szczepowej.

– **Nagle poczułam się intruzem** – opowiada Hanka – **wszyscy razem, dyrekcja szkoły, nauczyciele i uczniowie patrzyli na mnie zezem. Mówili – „oho, znowu harcerzyk, co za koszmar". I był to koszmar, dla nich i dla mnie.**

Wszystkim dokładnie to harcerstwo wisiało, a najbardziej chyba uczniom, bo oni między słowem „harcerstwo" a słowem „nieufność" postawili znak równości. W tej szkole wpajało się młodzieży, że w siódmej klasie jest się jeszcze zuchem. I chociaż niektórzy z tych przerośniętych zuchów upominali się o przyrzeczenie harcerskie, przyrzeczenia tego się nie doczekali, ale usłyszeli za to, że im dłużej będą w zuchach, tym lepszymi staną się harcerzami. Kiedy? Może w ósmej klasie, może w liceum, jest jeszcze czas. Nie pali się przecież, a co nagle to po diable. I tyle było dyskusji.

Harcerstwo więc wszystkim młodym kojarzyło się z... oszukiwaniem. Dlatego, gdy tylko pokazałam się w klasie, pytając o harcerzy, wybuchał śmiech, zaczynały się docinki, głupie uwagi – „znowu ktoś przyszedł brać pieniądze, a ich – „szaraków" robić w balona, tym razem to oni się nie dadzą...".

Przez ponad dwa miesiące Hanka organizowała zbiórki dla trzech, pięciu osób, tylko po to, żeby przełamać tę nieufność i wrogość, żeby pokazać młodzieży, że jeszcze nie wszystko stracone...

Słowa niewiele znaczyły, trzeba było czegoś dynamicznego. Zorganizowała więc wspólnie ze swoimi „starymi" drużynowymi biwak.

– **Staraliśmy się pokazać im obrzędowość harcerską** – wspomina Hanka – **o której teraz jakby się zapomniało. Zorganizowaliśmy podchody, marsz na azymut, no i oczywiście tradycyjne pieczenie ziemniaka. Byli chyba zadowoleni.**

Ten biwak był jakby punktem zwrotnym. Wreszcie zaczęło coś się robić, nie na papierku a w rzeczywistości. Niemało uczniów zaczęło przychodzić na zbiórki, dyskutować o tym, co ciekawego robić, podsuwać interesujące pomysły. Sukces był jednak połowiczny, gdyż po wielu zbiórkach robiono zakłady: „będzie w przyszłym tygodniu jeszcze zbiórka czy nie?". Hanka sądzi, że czekali aż coś nie wyjdzie, aż będą mogli powiedzieć – „mieliśmy rację, harcerstwo to lipa".

Osamotnienie

Do pomocy nie ma nikogo. Wszyscy, nawet starzy instruktorzy, wychodzą z założenia, że skoro jej właśnie płacą, to niech się męczy, niech sama główkuje, co chce zresztą niech robi, byle tylko było lepiej niż dotychczas. No, oni oczywiście poprą, jasne, tylko może potem.

– **Za moich czasów w harcerstwie przynajmniej młodzieżowych instruktorów nie brakowało, teraz o nich coraz trudniej, bo harcerstwo nie jest już magnesem przyciągającym młodzież** – mówi Hanka. – **Odwiedziłam pięć lubelskich szkół średnich i nie znalazłam nikogo chętnego do pracy w drużynie. Wszyscy zgodnie twierdzili, że mają zwyczajnie dosyć harcerstwa przesiąkniętego ideologią, odświętnych szpalerów na cześć komendanta chorągwi czy hufca, całej tej akcyjności i pracy na pokaz. Druga sprawa – odkąd wprowadzony został program HSPS, a co za tym idzie różne kluby specjalnościowe: polityczne, turystyczne, artystyczne itd. – odsunięto na potem szkolenie przyszłych instruktorów.**

Dzięki prywatnym kontaktom zdobyłam kilku „młodzieżowców" z Zespołu Szkół Pedagogicznych. Nie na długo jednak, gdyż traktowali oni swą rolę jako obowiązek (później dopiero okazało się, że w tej szkole istnieje tzw. „przymus pracy w harcerstwie"). Znowu tym samym wyświadczyli mi „psią" przysługę. Raz na zbiórkę przyszli, a pięć razy nie. Jedyną metodą uspokajania rozbrykanej grupki harcerzy była dla nich „ścierka w buzię i... nie będziesz więcej gówniarzu wrzeszczał". Na zbiórce ma przecież być cisza i spokój.

Za młoda, by kierować

Taką opinię wyraża dyrektorka i nauczyciele w tej szkole. Kiedy Hanka zorientowała się na dobre, że na drużynowych a tym bardziej przybocznych z zewnątrz nie ma co liczyć, podszkoliła swoich dwóch harcerzy do funkcji przybocznych zuchów i wysłała ich do nauczycielki, która właśnie zajmuje się zuchami. Ta bez żadnego „ale" wygoniła „smarkaczy" za drzwi, żeby nie zawracali głowy i nie traktowali jej jak nastolatki. Ma ona wszak swoje pomysły i żadnych uwag dzieci, nawet tych przyszłych przybocznych, słuchać nie będzie.

Dyrektorka zaś na każdą propozycję spotkania ze szczepową ma tylko jedną odpowiedź: – Nie ma czasu, są ważniejsze sprawy...

Cóż mi pozostaje – mówi Hanka – **dalej muszę podkradać papier, brystol, bo harcerze nie mają żadnych funduszy, oprócz makulatury którą zebrali, a którą wyłącznie dysponuje pani dyrektor. A poza tym nawet gdy coś wypracują, najpierw muszą spłacić dług – trzy tysiące złotych za składki z ubiegłego roku – bo gdzieś te pieniądze się zawieruszyły.**

Kiedy słuchałam tych zwierzeń, o kłopotach z jakimi spotyka się codziennie, aż wierzyć mi się nie chciało, że Hanka jeszcze upiera się przy swoim. Przy harcerstwie.

DANUTA NIEDŹWIECKA

EKRAN

„PORWANY PRZEZ INDIAN"

Ten nietypowy western nakręcony został przez Ulricha Weissa – znanego niemieckiego dokumentalistę. Jest to już jego drugi film fabularny, ale właśnie w nim po raz pierwszy reżyser odszedł konsekwentnie od techniki dokumentu i przeniósł widza w świat czystej przygody. Nie znaczy to oczywiście, że osadził wydarzenia filmowe w jakimś nierzeczywistym czasie i miejscu. Rzecz dzieje się w Ameryce Północnej w okresie wojny między Francją i Anglią (lata 1754–1763) o rozstrzygnięcie kolonizacyjnej i administracyjnej rywalizacji między obydwoma państwami.

W konwencji przygody pokazane są rzeczywiste dramaty tamtych czasów i ludzi. Główny bohater – kilkuletni syn angielskiego osadnika – George, zostaje porwany przez Irokezów. Na próżno zrozpaczona rodzina usiłowała go odnaleźć, nie powiodła się również jego próba ucieczki od Indian... Biały chłopiec został uznany za członka indiańskiej społeczności i siłą rzeczy musiał pogodzić się z tym faktem. W owych czasach rzeczywiście zdarzały się takie wypadki. George dostał imię Wilka Górskiego i wrósł w swą nową rodzinę i plemienną wspólnotę. Świadectwem przynależności do rasy białej były tylko jego złote, kręcone włosy i jasna cera. Patrząc na film, na perypetie małego bohatera, jego przyjaźnie z indiańskimi rówieśnikami, zapominamy przez chwilę, że to nie tylko przygoda, ale i ludzki dramat. Po wojnie zwycięscy Anglicy zażądali uwolnienia wszystkich białych, mieszkających w indiańskich wioskach, więc George odnalazł – już jako młodzieniec – prawdziwych rodziców. Kim się czuł – białym czy czerwonym? Poznał i pokochał przecież naiwną i czystą kulturę społeczeństwa indiańskiego, ale z drugiej strony wiedział, że jest ona skazana na zagładę, że niemożliwe jest pogodzenie tych dwóch światów na zasadzie kompromisu.

W zakończeniu filmu, George w kapeluszu typowym dla białych osadników, ale okryty indiańskim kocem odchodzi w otwartą przestrzeń prerii... Nie mogąc dokonać wyboru, decyduje się na samotność, która wydaje mu się wolnością.

Wartość filmu „Porwany przez Indian" nie polega jedynie na próbie znalezienia odpowiedzi na pytanie uniwersalne: gdzie znajduje się i czym właściwie jest prawdziwa ojczyzna człowieka? Jest to po prostu utwór ciekawy, oryginalny i artystycznie dojrzały. Łączy w sobie prawdę historyczną i psychologiczną z interesującą formą.

Film został zrealizowany w koprodukcji kinematografii NRD z Rumunią. Obok enerdowskich grają w nim rumuńscy aktorzy, a plenery Ameryki Północnej z powodzeniem zastępują rumuńskie Karpaty. Film jest już od kilku tygodni na ekranach, jeśli ktoś nie zdążył go zobaczyć, niech wybierze się do kina koniecznie! **(eb)**

Kwiatek dla Hani...

Nasza czytelniczka z Olsztyna – Hania – w liście do redakcji prosi o wyjaśnienie czy agawy kwitną i skąd pochodzą.

Ojczyzną agaw są pustynne okolice Meksyku i północnej części Ameryki Południowej. Tam rośliny te hodowane są od wieków, bowiem z włókien zawartych w liściach wyrabiane są liny tzw. sizalowe, a z soku przyrządza się napój zastępujący piwo (pulgu).

Agawy są sukulentami, czyli roślinami, które gromadzą w tkankach wodę, pozwalającą im przetrwać niekorzystny okres. Między innymi do sukulentów należą kaktusy, a także popularny u nas rozchodnik. U starych agaw średnica liścia może sięgać nawet 3 metrów! Kwitną one późno – w swojej ojczyźnie na ogół po kilkunastu latach życia. W warunkach cieplarnianych trzeba na to wydarzenie czekać od kilkunastu do kilkudziesięciu lat. Oto pewnego dnia wyrasta ze środka rozety liści wysoki pęd, osiągający po kilku dniach wysokość nawet kilku metrów. Osadzone są na tym pędzie liczne kwiaty, zebrane w zależności od gatunku (gatunków jest około 300) w tzw. wiechę lub kłos. Niestety, agawa kwitnie tylko raz. Po okwitnięciu i dojrzeniu owoców liście usychają. Rozmnaża się ona również wegetatywnie, wydając wiele odrostów, które się ukorzeniają i pędzą samodzielny tryb życia. W hodowli domowej odrosty należy obcinać i przesuszać przed przesadzaniem. Roślinom tym daje się ziemię żyzną (inspektową lub kompostową) przemieszaną z piaskiem. Latem trzymamy je w miejscu silnie nasłonecznionym. Zimą – w chłodnym pomieszczeniu – nie podlewając. Sukulentów nie podlewamy zresztą zbyt często, nawet w okresie wegetacji.

Na naszym zdjęciu, które dedykujemy Hani – prezentujemy agawę amerykańską, która zakwitła na zboczach gór w Puerto Rico i która bardziej przypomina kolorową wieżę niż kwiatek.

Rep. **W. Mroczek**

● Alarmujące wnioski z prac sejmowej Komisji Oświaty i Wychowania ● W szkołach wiejskich – sytuacja wręcz fatalna ● „Na dziś" musicie ratować się sami!

PRAWDA o podręcznikach

Czy każdy uczeń posiada komplet podręczników? Z takim pytaniem zwróciłam się do kilkunastu uczniów w Warszawie oraz trójki nauczycieli. Z tej mini-sondy wynikało, że tylko Bartkowi brakował 1 podręcznik. Ratuje się on pożyczeniem książki od kolegów, narzekając przy tym – i słusznie – że utrudnia to naukę, i jemu, i szczęśliwemu posiadaczowi owej książki.

W terenie spotkałam się z inną sytuacją: młodzież narzekała na braki kilku podręczników – i co gorsza, wcale nie były to sporadyczne przypadki. W jednej z wiejskich szkół tylko 5 uczniów, na 36 posiadało książki do wychowania muzycznego. Nie jest to przedmiot podstawowy i łatwiej tu obejść się bez książki niż na lekcjach matematyki czy polskiego, ale słyszałam o brakach tych podręczników w klasach I–III w jednej ze szkół gminnych. Czyżby więc zaopatrzenie dzieci wiejskich w te podstawowe narzędzia pracy uczniów było gorsze niż w dużych miastach? Celem reformy było przecież wyrównanie startu dzieci miejskich i wiejskich.

Jak wynika z danych resortu oświaty na rok szkolny 1980–1981, dostarczono uczniom 37,2 miliony nowych podręczników. Pełne nakłady, tzn. tyle, ile jest dzieci w tym wieku, otrzymali uczniowie klas I–III. Dla pozostałych klas nakłady były zdecydowanie niższe w stosunku do liczby uczniów. Zakładało się bowiem korzystanie z książek używanych.

Jaki jest więc stan posiadania podręczników przez uczniów na dzień dzisiejszy?

Kontrola

Tym tematem zajęła się niedawno jedna z 22 komisji sejmowych – Komisja Oświaty i Wychowania. Aby dyskusja była konkretna i oparta na rzeczywistych faktach, posłowie oraz przedstawiciele Najwyższej Izby Kontroli przeprowadzili wcześniej inspekcję w 64 szkołach podstawowych 8-klasowych i w 56 podległych im szkołach filialnych. Kontrolę przeprowadzono w 15 miastach i gminach czterech województw. Stwierdzono, że sytuacja jest bardzo zła. Na 17,5 tysiąca uczniów chodzących do tych szkół, brakowało 11 tysięcy podręczników. Nawet w pierwszych trzech klasach zreformowanej szkoły w ponad połowie wizytowanych nie wszystkie dzieci miały komplet książek. Nie zawsze też mogły pożyczać je z bibliotek szkolnych, ponieważ w 40 z nich nie było kompletu podręczników. Kontrola wykazała również, że w niektórych szkołach uczniowie mają podwójne książki, i to czasami w tym samym mieście. Wynika to ze złego systemu rozprowadzania książek. Posłowie na posiedzeniu stwierdzili, że stan ilości podręczników jest alarmujący i sytuację tę trzeba szybko poprawić.

Jakie są przyczyny braków?

Jak wiadomo, aby drukować podręczniki, trzeba mieć papier, którego ciągle jest za mało. W Narodowym Planie Społeczno-Gospodarczym na rok 1980 istnieje zapis opiewający na 15 tys. ton papieru przeznaczonego na podręczniki. Przydział ten zmniejszono o 2,5 tysięcy ton, ograniczając tym samym liczbę wydrukowanych egzemplarzy. Obcięcie oszczędnościowe było mechaniczne, nikt się nie zastanowił nad tym, że się nie można uczyć bez podręczników. Tymczasem na półkach księgarskich leży wiele bubli, które „upłynnia się" chociażby z okazji Dnia Dziecka. W końcu z mniejszą krzywdą można ograniczyć liczbę kryminałów, bo ich nieczytanie nie wyrządzi takiej społecznej krzywdy jak nieuczenie się. Poza tym łatwiej jest pożyczyć w bibliotece kryminał, niż podręcznik, nie mówiąc już o zeszytach ćwiczeń – bo jak w cudzej książce odrobić zadaną lekcję. Trzeba też dodać, że nie kto inny jak właśnie młodzież szkolna zbiera makulaturę, przyczaniając się do łagodzenia deficytu papieru.

Aby poprawić istniejący stan podręczników, należałoby w przyszłym roku wydrukować ich 46 milionów. Tymczasem wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne w swoich drukarniach mogą wydać tylko 30 milionów. Trzeba więc szukać innych drukarń. Te inne też mają swoje plany. Ponadto z roku na rok zmniejsza się ich moc przerobowa, bo psują się maszyny drukarskie, a brak dewiz na sprowadzanie części zamiennych itp. Podobno nie opłaca się im również drukować książek, ponieważ tak są ustawione cenniki, że bardziej opłacalne jest robienie nadruków na papierze opakowaniowym.

Popełniono też błąd w zapotrzebowaniu na podręczniki. Ustalono je na podstawie prognoz demograficznych. W praktyce okazało się, że liczba uczniów jest o 600 tysięcy większa, niż przewidywano w statystykach. Błędne było również założenie, że książka żyje pięć lat. Zła jakość papieru, złe klejenie grzbietów książki, z powodu braków kleju kostnego, powodowało wypadanie kartek w nowych książkach i szybsze ich niszczenie. Żyła więc w rękach uczniów krócej niż przewidywano.

Można było złagodzić trochę sytuację prawidłową dystrybucją, czyli rozprowadzaniem wśród młodzieży podręczników; przy takich brakach, niedopuszczalne są sytuacje, żeby ktoś posiadał 2 egzemplarze.

Co robić?

Nad przyczynami niedoboru podręczników zatrzymałam się dłużej, aby nieszczęśnicy nie posiadający podręczników zdali sobie sprawę z tego, ile trudności muszą przełamać władze i resort oświaty, aby poprawić sytuację. A ci, którzy mają z czego się uczyć, może bardziej będą szanować każdą stronę książki i chętniej pożyczać sobie nawzajem. Tyle dzisiaj możemy zrobić my. A co zrobią instytucje i ludzie dorośli – odpowiedzialni za ten stan – aby ich dzieci mogły się uczyć?

Na Komisji Sejmowej mówiono, że o tej sprawie „biadolono" od lat, ale przyszedł czas, aby problem podręczników załatwić definitywnie. Spisano wnioski, podjęto uchwały, odwołano się do premiera, zobowiązano konkretne instytucje do zwiększenia ilości papieru i mocy przerobowej. Resort oświaty ma zająć się m.in. z kolei prawidłowym rozprowadzeniem podręczników.

Na zakończenie debaty poseł Jarema Maciszewski powiedział, że **„wobec społeczeństwa moglibyśmy wylegitymować się naszymi wnioskami, opiniami, protestami, ale chodzi o energiczne działanie w ich realizacji"**.

Razem z naszymi Czytelnikami **wołamy o to energiczne działanie** do wszystkich, którzy mogą zmienić ten alarmujący stan. Życie dzieci pozbawione książki staje się uboższe, a edukacja musi kosztować, jeżeli ambicją naszą jest model wykształconego Polaka.

MARZENA WIERZCHOLSKA

Drugiej takiej nie było i chyba nie będzie (1)

PIERWSZY PRÓG

Startowała aż w pięciu igrzyskach. Nawet nie wymieniając zdobytych w nich trofeów stanowi to osiągnięcie bezprecedensowe w historii światowego sportu. A przecież te pięć olimpijskich startów uwieńczone zostało wywalczeniem siedmiu medali: trzech złotych, dwóch srebrnych i dwóch brązowych. Czegoś podobnego nie dokonała jeszcze żadna lekkoatletka. A przecież dorobek IRENY SZEWIŃSKIEJ nie ogranicza się jedynie do zdobyczy olimpijskich. W czterech mistrzostwach Europy na podium stanęła dziesięciokrotnie, w tym pięć razy na najwyższym. Po rekordy świata sięgnęła w czterech konkurencjach. Wielokrotnie zwyciężała w przeróżnych plebiscytach krajowych i zagranicznych. Obecnie pożegnała się już ze sportem. Ale jakże trudno będzie nam wyobrazić sobie polską narodową reprezentację bez pani Ireny...

Niczym nie różniła się od swoich rówieśniczek. Może tylko była bardziej konsekwentna, uparta w dążeniu do raz wytyczonego celu. I tym, że zawsze lubiła biegać. Nawet udając się do szkoły czyniła to znacznie prędzej aniżeli koleżanki. Dziś mówi, że czuła wewnętrzną potrzebę szybkiego ruchu. Wszelkie jej dziecięce zabawy polegały więc najczęściej na pokonywaniu określonych dystansów. Niezależnie od tego czy była to parkowa aleja lub podwórko. Nie, w podstawówce, nie myślała jeszcze o poważnych występach nawet na szkolnym boisku, choć nie ukrywa, że o nich marzyła. Dużo przecież słyszała o sukcesach Elżbiety Duńskiej na igrzyskach w Melbourne, o jeszcze wcześniejszych wyczynach znakomitej olimpijki Stanisławy Walasiewicz. Była zbyt nieśmiała, aby nawet w skrytości dumać nad ewentualną próbą pójścia w ślady tak sławnych Polek...

Pierwsze sportowe kroki postawiła dopiero w szkole średniej, w warszawskim LO im. Jarosława Dąbrowskiego. Nauczycielka wychowania fizycznego, pani Liliana Bucholz, potrafiła nie tylko zachęcić swoje uczennice do wyjścia na boisko, ale również uczynić z mistrzostw szkoły w lekkiej atletyce imprezę wielkiej rangi. 15-letnia Irena Kirszenszteinod razu zdumiała swoją wuefistkę; podczas sprawdzianu biegowego na 60 m dziewczyna „wykręciła" taki czas, że nauczycielka długo spoglądała na trzymany stoper. Początkowo sądziła, że zaciął się jego mechanizm. Ale wbrew przypuszczeniom chronometr działał bez zarzutu. Gwoli prawdzie trzeba dodać, że wskazówki zatrzymały się na cyfrach 8,0 sek., co nie stanowiło nadzwyczajnego rezultatu. Jednak pani Bucholz wiedziała, że Irena nigdy dotąd nie stawała w startowych blokach, nawet nie umiała ułożyć prawidłowo w nich stóp. Biegła też w zwykłych tenisówkach. Doświadczone oko robiącej sprawdzian, od razu zauważyło co trzeba. Zwłaszcza dynamikę ruchów długich przecież nóg uczennicy, co jest zjawiskiem niezwykle rzadkim. Nauczycielka dostrzegła jeszcze jedno: pędząca na pełnych obrotach dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby nie wykorzystała w pełni swoich możliwości zwiększenia tempa, jakby dysponowała sporym zapasem sił. A przy tym każdy jej krok był krokiem... tancerki, lekki i elegancki.

Po dwóch latach treningu Irena Kirszensztein poprawiła w biegu na 100 m rekord Polski młodziczek. Odtąd wynosił on 11,9 sek.

Nie oparł się także najlepszy rezultat dotąd w skoku w dal. 15-letnia Irena uzyskała 5,72 m.

Pierwszy start Ireny stanowił więc przekroczenie pierwszego sportowego progu. Ciekawe, że nastąpił on na Agrykoli a zatem na stadionie, po którym biegali przed laty tej klasy zawodnicy co Stanisława Walasiewicz i Janusz Kusociński. Za namową Liliany Bucholz, Kirszensztein wstępuje do stołecznego klubu „Polonia". Swoje dotychczasowe rekordy zaczyna poprawiać niemal z dnia na dzień. Zabawy w bieganie się skończyły. Jesienią 1960 roku rozpoczął się okres poważniejszych prób, poważniejszych startów. Okres wielu wyrzeczeń. **(zp)**

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Fot. **J. Szewiński**

BRUNATNA

„BARBÓRKA"

Początek grudnia przynosi zawsze falę artykułów o górnikach, górnictwie i węglu. Ciężka praca pod ziemią, trud wydobywania „czarnego złota", wielkie znaczenie węgla dla energetyki, ciepłownictwa, gospodarki komunalnej, dewizy za miliony wyeksportowanych ton, ostatnio również konkurencja z ropą naftową – oto najczęstsze tematy publikacji. Spróbujmy dziś spojrzeć trochę szerzej na możliwości wykorzystania uboższego krewnego „króla węgla", pozostającego na uboczu węgla brunatnego...

Kiedy jest mowa o węglu, każdy ma na myśli czarne bryły i kawałki z odciśniętymi niekiedy gałązkami paproci, skrzypów czy widłaków, które ongiś szumiały wśród bagien nieprzebytymi dżunglami. Rzeczywiście tak było, kiedy rodził się węgiel kamienny.

Bardziej dociekliwi wyobrażają sobie czasem, że węgiel kamienny jest ostatnim stopniem przechodzenia drewna przez torf i węgiel kamienny w drodze do skamieliny. To już nie jest prawda! Węgiel kamienny i brunatny powstawały w niektórych okresach równolegle, ale z innych roślin i w innych warunkach.

Torf, węgiel brunatny, węgiel kamienny, antracyt i grafit różnią się nie tylko wyglądem i zawartością pierwiastka węgla, ale różnią się między sobą również składem mieszanin związków chemicznych.

Jak to było z węglem brunatnym? Głównymi roślinami węglotwórczymi były dęby, cyprysy, sekwoje i świerki. Przez miliony lat drzewa rosły i waliły się w bagno, tworząc coraz grubsze pokłady pni, pokrywane bagnem, piaskiem, wreszcie ziemią, przygniatającą powalone kolosy podczas ruchów górotwórczych. W środowisku kwaśnym, przy dostępie powietrza i później bez niego, pleśnie i bakterie aerobowe (w wypadku węgla kamiennego były to bakterie beztlenowe!) zniszczyły celulozę i białko zawarte w drewnie, a pozostałą ligninę przekształciły w kwasy huminowe. Oczywiście w mieszaninie związków, jaką jest węgiel, występują także woski, żywice, węglowodory, sole mineralne...

RZEŚKI STARUSZEK

Węgiel brunatny powstawał w ciągu dwóch ostatnich er geologicznych: mezozoicznej i kenozoicznej, w okresie od miliona do 150 milionów lat temu. Najważniejsze znaczenie gospodarcze dla Polski mają węgle brunatne z miocenu, a więc powstałe „zaledwie" przed 12–23 milionami lat. Należą tu pokłady turoszowskie, lubuskie, poznańskie, konińskie, bełchatowskie, nidzicko-olsztyńskie, nad Zatoką Gdańską.

Zasoby wynoszą wiele miliardów ton, mogą więc zgodnie z prognozami perspektywicznymi stać się podstawą rozwoju energetyki, tym bardziej że węgiel kamienny będzie coraz trudniej dostępny, coraz droższy. Trzeba jednak pamiętać, że nie ma nic za darmo – węgiel brunatny wydobywa się przeważnie metodą odkrywkową, co powoduje duże zmiany w środowisku przyrodniczym: zajmuje się duże powierzchnie na zwałowanie ziemi z nadkładu, przykrywającego pokłady węgla, ponadto konieczne odwodnienie kopalni powoduje obniżenie poziomu wód gruntowych w promieniu kilkunastu kilometrów. Fakt ten wpływa na obniżenie plonów i negatywne zmiany w lasach i sadach. Przez odpowiednie działania można te straty zmniejszyć, ale nie da się uniknąć ich zupełnie.

Wszyscy wiedzą o kopalniach węgla brunatnego w Turoszowie, Adamowie, Koninie, powstającej kopalni w Bełchatowie (na zdjęciu). Wszystkie są związane z elektrowniami – dostarczają do nich paliwo, dzięki czemu energia elektryczna zasila przemysł i sieć oświetleniową. W Polsce jest to praktycznie jedyny kierunek wykorzystania węgla brunatnego – zaledwie niecałe 10% wydobytego węgla przeznacza się na eksport i cele opałowe dla ludności.

Wytwarzanie energii elektrycznej jest tanim sposobem wykorzystania węgla brunatnego, znacznie efektywniejszym ekonomicznie od węgla kamiennego. Jednak są z tym związane również pewne niewygody, jak duża ilość popiołu, specyficzny zapach, zadymienie, zanieczyszczenie atmosfery i wód.

CO DALEJ?

Spalanie węgla pod kotłami elektrowni, chociaż daje upragnioną energię, jest jednak barbarzyństwem. Można bowiem ochronić środowisko, zwiększyć nie tylko efektywność wykorzystania węgla i uzyskać wiele cennych związków chemicznych, ale i wykorzystać produkty uboczne i odpady.

Nie trzeba odkrywać nic od nowa, prowadzić wieloletnich prac naukowych. Tuż obok, w NRD, przetwórstwo chemiczne węgla brunatnego jest źródłem wosku montanowego, parafin do środków piorących, benzyny, oleju napędowego i oleju opałowego, fenoli i krezoli do żywic i tworzyw sztucznych. Nawet popiół może być wykorzystany jako cenny składnik nawozów sztucznych, zawierający mikroelementy!

Wydaje się, że najlepszym rozwiązaniem w naszych warunkach może być uruchomienie w każdej elektrowni opalanej węglem brunatnym dodatkowej instalacji wytlewania, między młynami rozdrabniającymi węgiel a paleniskiem.

Instalacja taka mogłaby być zwykłym piecem obrotowym, jaki używa się w cementowni. Węgiel, ogrzany do 700–1000°C, rozkłada się na koks, gaz i smołę. Gaz po odsiarczeniu może być użyty do opalania albo do syntez chemicznych, ze smoły uzyskuje się wspomniane już benzyny, oleje, parafinę, fenole i inne związki chemiczne. Ani gazu, ani benzyny, ani pozostałych chemikaliów nie mamy, niestety, wystarczających ilości...

Wszystkie części takiego procesu technologicznego są sprawdzone na skalę przemysłową, jednak żadna elektrownia do dzisiaj go nie stosuje.

Łatwiej jest spalać węgiel, nie dbając ani o ochronę środowiska, ani nawet o efekty ekonomiczne, o możliwość uzyskania paliw silnikowych bez importu ropy naftowej (oczywiście pewnej tylko części!). Warto pomyśleć nad takim prostym rozwiązaniem, tańszym od budowy zakładów zgazowania węgla i od importu dodatkowych ilości ropy – przecież motoryzacja rozwija się szybko!

Czy wypada mówić o tych sprawach zaraz po Święcie Górnika? Chyba tak, przecież chodzi nie tylko o wydobycie węgla, lecz przede wszystkim o efektywne i racjonalne jego wykorzystanie. A jeśli nie zrobią tego dorośli, to Wam dopiero przyjdzie realizować podobne pomysły, świętować brunatną „Barbórkę"...

KRZYSZTOF GUTORSKI

Fot. **CAF**

W 500-LECIE ŚMIERCI JANA DŁUGOSZA

„Historii bardzo wielki miłośnik i czytelnik oraz kronik pisarz"

Należy do tych wielkich postaci naszej historii, które z szacunkiem omija się dużym łukiem, i które czci się bez znajomości dzieła – nieco na słowo honoru tych nielicznych, którzy znają prace wielkiego uczonego.

Można mieć nadzieję, że rocznica 500-lecia śmierci Jana Długosza, która minęła w tym roku, zaowocuje nie tylko naukowymi sesjami i nie mniej poważnymi artykułami czy rozprawami, ale np. wyborem z „Roczników przesławnego Królestwa Polskiego", opatrzonych fachowym komentarzem, z którego dowiemy się o autorze i jego spuściźnie. Tak się jednak nie stało; dostał swą książkę Wincenty Kadłubek, postać znacznie mniej kontrowersyjna, też kronikarz, duchowny i biskup, który roztropnie wycofał się z działalności publicznej na kilka lat przed śmiercią, by spokojnie pisać i zakończyć swoje życie w klasztorze.

Jan Długosz – historyk, kronikarz dziejów Polski, surowy nauczyciel królewskich synów. Wysoki, szczupły, o pociągłej twarzy i żywym spojrzeniu – takim utrwalił go cztery wieki później Jan Matejko...

Długosz tkwił w swoich czasach do końca. W wielkim sporze pomiędzy koroną Kazimierza Jagiellończyka a mitrą Zbigniewa Oleśnickiego stanął od początku po stronie biskupa. Często rozważano dlaczego tak się stało. To prawda – Oleśnicki dał Długoszowi dobrobyt materialny (dożywotnią rentę, dochody z 6 wsi, etc.), zrobił go swym powiernikiem, umożliwił poznanie świata i badania, a Długosz odpłacił nie tylko dedykacją „Roczników", wiernością i pracą, lecz także osłonił biskupa własnym ciałem podczas napadu pod Kövos. Z pewnością musiało być w Oleśnickim coś fascynującego i przyciągającego, ale znowu powtórzę: co my o nim wiemy? Co my o nich wiemy?

Wiek XV, to lata przełomu kulturalnego średniowiecza i odrodzenia. A że Długosz zaliczany był i do jednego, i drugiego okresu, raz traktowano jego dzieło jako najwspanialszy wykwit kroniki średniowiecznej, to znów wytykano słabości wobec historiografii renesansowej. Wzorował się na Liwiuszu*, lecz stylem – jak twierdzą znawcy, nigdy mu nie dorównał. Ale jeśli się zważy, że poprawiał swe dzieło po kilka razy, dodając nowe fakty i ciągle ulepszając – to trudno nie przyznać racji Długoszowi-historykowi, który tak usprawiedliwiał Długosza-pisarza: *„Jeśli zaś znajdą w tem dziele coś niestwornego i mniej nadobnie opowiedzianego, lub jeśli całe dzieło wyda im się pod tym względem nieudatne i nieogładzone; niechaj szukają rzeczy, a przebaczą szorstkości języka"*. Niech szukają rzeczy... bo istotnie dzieła Długosza (nie tylko „Roczniki", ale także „Księga uposażeń biskupstwa krakowskiego" i „Insignia") są zbiorem rzeczy – faktów i danych bezcennych, przez cały pracowity żywot wyszukiwanych skrzętnie w archiwach, bibliotekach, relacjach, dziełach. W poszukiwaniach tych i ich sprawdzaniu nie znał taryfy ulgowej; wszak nauczył się ruskiego, by przeczytawszy w oryginale Nestora ** wprowadzić wiadomości z jego kroniki do swego dzieła.

Przez dwa stulecia był Długosz podstawą historiografii polskiej – mimo iż drukować go nie pozwalały rody dosyć bezceremonialnie potraktowane w „Rocznikach". Nie ma chyba większego zbioru rękopisów w Polsce, gdzie by nie było odpisu Długosza. Można więc powiedzieć, że poza „obiegiem księgarskim" trafiał wszędzie, gdzie mógł, a jego oddziaływanie było ogromne.

Uczył patriotyzmu, którym przesiąknięta jest każda strona „Roczników". Jest to patriotyzm głęboki, czasem pełen goryczy, dumny i gorący. Założenia wykładu historycznego nie są bezstronne; słusznie nazwał więc Mackiewicz Długosza także publicystą historycznym. Oceny ostre, choćby na przekór zakorzenionej już tradycji, niechęci osobiste – tak, to wszystko kłębi się w Długoszowym dziele. Miał chyba zresztą znaczny temperament, jak wszyscy z rodu, w którym kilku przedstawicieli zeszło z tego świata śmiercią nagłą w sąsiedzkich zatargach. Ale też on jeden mógł – dzięki swej pracy – spojrzeć na dzieje narodu i państwa jako na całość. Widział całość, co dla nas – przyzwyczajonych do syntez historycznych jest rzeczą oczywistą. Jak czuł się jednak ktoś, kto miał świadomość, że widzi jako jedyny ze współczesnych? Co więcej – myślę, że z biegiem lat to właśnie widzenie zmieniło postawę Długosza wobec świata, wobec Oleśnickiego i przede wszystkim – wobec króla.

Kazimierz Jagiellończyk też rozumiał Długosza. Stronnika Oleśnickiego i wroga korony ukarał z całą bezwzględnością – uczonego i patriotę zrobił wychowawcą swoich synów, nominował na arcybiskupstwo lwowskie. Zachowały się legendy o surowości historyka jako nauczyciela – a przecież uczniowie lubili go i cenili. Coś w tym jest, że młodzi Jagiellonowie do Zygmunta pisali gotykiem, jak ich tego zapewne Długosz nauczył. Ale nauczył ich i czegoś więcej: umiejętności kompromisu, rządzenia sprawiedliwie, rozumienia wydarzeń. Dziś, gdy nawołuje się nas do demokracji, współrządzenia, odpowiedzialności, tolerancji i sztuki kompromisu – warto dodać jeszcze uczenie się dziejów własnego kraju, bo to one są najlepszym nauczycielem... I wtedy, i obecnie poznawano historię, by rozumieć; i król, i Długosz musieli o tym dobrze wiedzieć.

Co wiadomo jeszcze o człowieku? Był wysoki, szczupły, zapewne przygarbiony od ślęczenia nad papierami. Portrety ukazują twarz pociągłą, nawisłe brwi nad żywymi oczami – ale są to wizerunki nie z natury robione. Był księdzem nie tylko „organizacyjnie" – wierzył głęboko, po średniowiecznemu. Lecz z wiary i przynależności społecznej wyciągał wnioski; jego fundacji są liczne kościoły, on je odnawiał, wspierał materialnie współbraci. Przyczyniał się również do rozbudowy i wznoszenia nowych burs dla uczących się studentów, zaś swe dzieło główne; którego niedostatki widział i bardzo skromnie oceniał – przekazał do kontynuacji i poprawiania doktorom, profesorom, mistrzom, uczniom i pisarzom krakowskiej Wszechnicy. I do nich przede wszystkim zwrócił się w zakończeniu „Roczników" – jednym z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających fragmentów naszej prozy, której przekład z zeszłego stulecia teraz jeszcze wywołuje wzruszenie. Rzadko bowiem zdarza się czytać tak spokojne i godne pożegnanie kogoś, kto czuł już śmierć, a jednak dane mu było ogromne szczęście zakończenia zamierzonego dzieła, tworzonego przecież „dla pożytku miłej Ojczyzny".

Chory na kamień, umarł w sześćdziesiątym piątym roku życia gdzieś między 16 a 19 maja 1480 r. Za trumną szedł król z rodziną, dwór, Akademia, Kraków. Pochowano go w katedrze, gdzie spoczywał przez cztery stulecia. W 1880 r. przeniesiono szczątki Długosza do kościoła na Skałkę, niegdyś przezeń wyposażonego i przekazanego Paulinom. Tam, w krypcie, gdzie spoczywają inni zasłużeni dla narodu – Długosz znalazł swoje godne miejsce. Czasem leżą tam kwiaty, są i tarcze szkolne – choć mniej niż u innych. Czy go rzeczywiście znamy i pamiętamy?

MAREK MACH

---

*) **Liwiusz – wybitny historyk rzymski (59 w. p.n.e. – 17 r. n.e.).**

) **Nestor – mnich klasztoru w Kijowie (XI?–XII? w.), współautor i redaktor dziejów Rusi.

ŁADA WAZ 2105

ŁADY cieszą się w naszym kraju dużą popularnością. Wypływa to najprawdopodobniej z faktu, iż samochód ten powstały w oparciu o włoską licencję, posiada dobre powiązania konstrukcyjne wielu mechanizmów i zespołów, co w połączeniu z tradycyjną, dobrą trwałością produktów przemysłu motoryzacyjnego naszego wschodniego sąsiada, daje produkt o dużych walorach techniczno-eksploatacyjnych.

Przypomnijmy jeszcze, że ŁADA wytwarzana jest w zbudowanych od niedawna, zupełnie nowych zakładach, dla których powstało też zupełnie nowe miasto o nazwie Togliatti nad Wołgą. Skrót WAZ oznaczający łącznie z liczbą typ samochodu, jest skrótem nazwy fabryki – **Wołżańskij Awtomobilnyj Zawod**, co po polsku oznacza Wołżańskie Zakłady Samochodowe.

ŁADA wytwarzana jest w oparciu o licencję włoskiego Fiata, a konkretnie samochodu FIAT-124. Samochód ten we Włoszech nie jest już produkowany, a jego miejsce zastąpił na taśmach produkcyjnych FIAT-131 MIRAFIORI. Należało więc sądzić, że w Związku Radzieckim, ŁADA też zostanie zastąpiona zupełnie nowym modelem. Jednakże jak dotąd realizowana jest jej ciągła modernizacja, a wynikiem jej jest ŁADA oznaczona symbolem WAZ 2105.

ŁADA WAZ 2105 jest więc samochodem, na który składają się te same podstawowe zespoły i mechanizmy, niekiedy w większym lub mniejszym stopniu unowocześnione i nadwozie o tej samej bryle z poprawionymi kształtami błotników, innym wyglądem przodu i tyłu, innymi zderzakami.

W silniku zastosowano w miejsce łańcucha rozrządu pasek zębaty wykonany z tworzywa sztucznego, który sprawia, że praca silnika jest bardziej cicha. Stosowany jest inny rodzaj filtru powietrza, inny gaźnik i rozdzielacz zapłonu – wszystko to sprawia, że mniejsze jest zużycie paliwa i mniejsza jest toksyczność wydzielanych przez silnik spalin.

W całości zostało zmodernizowane wnętrze samochodu. Inny kształt ma tapicerka drzwi. Przednie fotele posiadają masywne zagłówki. Półka za tylnymi siedzeniami posiada zakrywaną wnękę przeznaczoną do umieszczenia w niej apteczki. Inny jest kształt koła kierowniczego i zespołu wskaźników na desce rozdzielczej.

W bryle nadwozia rzuca się przede wszystkim w oczy zmniejszenie krzywizn zarówno przednich jak i tylnych błotników, zmiana kształtów – z okrągłych na prostokątne – świateł przednich i zastosowanie innych większych zderzaków obłożonych warstwą gumy oraz zakończonych gumowymi końcówkami.

W prostokątnych przednich reflektorach zblokowane zostały we wspólnej obudowie wszystkie światła łącznie z pozycyjnymi i kierunkowskazów. Reflektory posiadają żarówki halogenowe. W wersjach luksusowych samochodu zastosowano zmywacze i samoczynne wycieraczki świateł. Dużo większe w porównaniu

z dotychczasowymi są też lampy tylne. Otrzymały one silne światła cofania.

W drzwiach zlikwidowane zostały okienka uchylne, a lusterka zewnętrzne można regulować za pośrednictwem specjalnej dźwigienki z wnętrza samochodu. Ramki szyb nie są chromowane lecz posiadają pokrycie czarnym lakierem. Tylna szyba jest elektrycznie ogrzewana.

Ważniejsze dane techniczne tego samochodu są następujące: pojemność silnika 1294 cm sześc., stopień sprężania 8,5, moc maksymalna 51 kW (69 KM) przy 5600 obr./min.

Prędkość maksymalna 145 km/godz., zużycie paliwa przy prędkości 90 km/godz. wynosi 7,3 litra, przy prędkości 120 km/godz. 10,2 litra, w jeździe miejskiej 10,2 litra na 100 kilometrów.

ZENON DUTKIEWICZ

● *Na Biennale Fotografii Przyrodniczej zwyciężają stare wygi, ale...*

● *... rośnie konkurencja ze strony naszych czytelników*

Tę wystawę wielu naszych fotografujących przyrodę czytelników obejrzałoby zapewne z wypiekami na twarzach. Biennale Fotografii Przyrodniczej, odbywające się od ośmiu lat w Poznaniu (przedtem – istniała tylko lokalna wystawa o tej tematyce, organizowana przez Poznańskie Tow. Fotograficzne), pokazuje bowiem zdjęcia, o jakich wielu z Was marzy. A potem – jak się zdaje – stanowi niezły przegląd tego, co się w naszej fotografii przyrodniczej dzieje, zwłaszcza – a to nas tu najbardziej interesuje – co kto przy pomocy kamery upolował...

Wystawa nie jest wprawdzie paradą fotograficznych trofeów; zajmują one w sumie niewielką jej część, i to tylko w jej dwóch działach: „Fotografia przyrodnicza" (ta „klasyczna") i „Przyroda w przeźroczu". Dział trzeci, traktujący o związkach człowieka z przyrodą – pokazuje już całkiem inne zdjęcia. Przede wszystkim – szczególnego rodzaju fotograficzne feletony, ukazujące czasem ponure, wręcz apokaliptyczne wizje zniszczonej przez ludzi przyrody...

Mimo to – można się tu wizerunkom rzadkich ginących dzikich zwierząt, wspaniałym zbliżeniom owadów, roślin, ich kwiatów i nasion napatrzeć do woli. Tegoroczną wystawę obejrzałem jednak już z mniejszymi, niż dawniej wypiekami. Bo też od lat niewiele się ona zmienia. Prezentuje wprawdzie poziom wysoki, ale wygląda na to, że ostatnio nikt w naszej fotografii przyrodniczej niczego nowego nie odkrył. Wciąż widzimy wizerunki i portrety zwierząt (czasem w akcji: podczas opieki nad młodymi, toków, polowania) oraz krajobrazy. Ta fotografia pokazuje więc raczej egzemplarze różnych organizmów i biotopów, natomiast nie wydarzenia czy procesy jakie zachodzą w przyrodzie. A fotografowie – przynajmniej ci, którzy prezentują się we wspomnianych działach – to nadal przede wszystkim kolekcjonerzy i „bezkrwawi myśliwi", ale od lat chodzący podobnymi ścieżkami, tropiących tych samych (najchętniej skrzydlatych) aktorów...

Niewiele się też zmienia ekipa laureatów Biennale. Od początków jego istnienia w pierwszym dziale prawie zawsze Grand Prix przypada **Włodzimierzowi Łapińskiemu**. Ten znany już dziś fotografik i zarazem leśnik mieszka stale w Puszczy Augustowskiej, jest więc blisko zwierząt. Żurawie, czarne i białe bociany, jelenie podczas godów, dzięcioły – to tegoroczne jego trofea. I ciekawostka: Łapiński zaprezentował m. in. barwne zdjęcie dudka karmiącego pisklęta, siedzące w gnieździe między kamieniami. Otóż przy tymże gnieździe robił zdjęcia syn p. Łapińskiego, Paweł, po czym przysłał jedno na „światomłodowy" konkurs „Nasi czytelnicy fotografują". Porównując oba zdjęcia, muszę przyznać, że junior zwyciężył seniora...

Najlepszym w dziale slajdów okazał się też zawodowiec, znany fotografik i operator filmowy, a ostatnio samodzielny realizator telewizyjnych filmów przyrodniczych **Ryszard Czerwiński** (wywiad z nim drukowaliśmy rok temu). Trofea Czerwińskiego, to też przede wszystkim rzadsze gatunki ptaków: błotniak stawowy, ślepowrony, rycyk, bocian czarny, bataliony, mewy i in. Wszystko to – w znakomitych kolorach!

Zatem – nie zmienili się mistrzowie, na wystawie nie spotkali też nazbyt wielu konkurentów (choć – paru mieli, np. srebrnego medalistę pierwszego działu, **Marka Cichonia**, który pokazał m. in. wspaniałe portrety czapli). Ale konkurencja powoli wyrasta...

Oto parę dni temu przysłał nam kilka swych zdjęć z prośbą o ocenę **Sławek Wąsik z Pionek**. „*Na wstępie* – pisze – *serdecznie pozdrawiam tych, którzy przyczyniają się do powstawania czwartkowego kącika Klubu Ptakolubów. Sam od dawna bardzo kocham ptaki, wiele czasu spędzam na obserwacjach. Od roku zająłem się fotografią przyrodniczą, a szczególnie ptakami. Trofea moje są jeszcze skromne, więc wysyłam tylko – kilka, moim zdaniem najciekawszych zdjęć. Proszę o ocenę i jednocześnie o kilka porad fachowych. Czy obiektywy lustrzane zdają egzamin w fotografii przyrodniczej? Czy przeźrocza małoobrazkowe nadają się do reprodukowania w prasie?*"

No więc – choć podobno to niedobrze chwalić początkujących, bo im się może poprzewracać w głowach – trzeba przyznać, że zdjęcia naprawdę udane. Świetnie uchwycone, dobrze skadrowane (mam tylko wątpliwość, czy warto było tak boleśnie przecinać kadrem karmiącą pokrzewkę, zamiast pokazać ją całą). Przyznam też, że są to jedne z nader nielicznych poprawnie zrobionych odbitek, jakieśmy ostatnimi laty dostali od czytelników. Porządnie skopiowane, wywołane, dobrze wysuszone i wyretuszowane! To po prostu małe fotograficzne święto w naszym przyrodniczym kąciku! A teraz odpowiedzi na pytania:

● Obiektywy lustrzane zdają egzamin, rzekłbym, na trójkę. Mają znikomą jasność, co utrudnia fotografowanie np. przy gorzej oświetlonych gniazdach i precyzyjne ustawienie ostrości – tym bardziej, że obiekty zdjęć są ruchliwe. Nadto – brak blendy sprawia, że nie można manipulować głębią ostrości, a to czynność bardzo ważna (choć przez wielu niedoceniana), ułatwiająca np. „wygaszanie" zbyt krzykliwego tła. Lepsze są – choć dłuższe i zwykle cięższe – zwykłe obiektywy długoogniskowe (np. „Sonnar", „Orestegor" itp.).

● Jedne redakcje przyjmują przeźrocza małoobrazkowe, inne nie. „Świat Młodych" przyjmuje i nimi to w sporej mierze ilustrujemy nasze pismo.

Zachęcamy Sławka do dalszej współpracy. Chętnie dowiemy się, jakim sprzętem i materiałami się posługuje – przyda się ta informacja wielu naszym czytelnikom, którzy chcieliby się dorobić zdjęć tak wyraźnych i poprawnych. Przy okazji: odbitka do reprodukcji w prasie powinna być nieco jaśniej skopiowana, niż normalnie, ale nie mniej kontrastowa. Wszystkie odbitki Sławka spełniają ten warunek, jedynie zdjęcia trznadla jest o pół tonu zbyt „mocne".

TOMASZ KŁOSOWSKI

Fot. **Sławomir Wąsik**

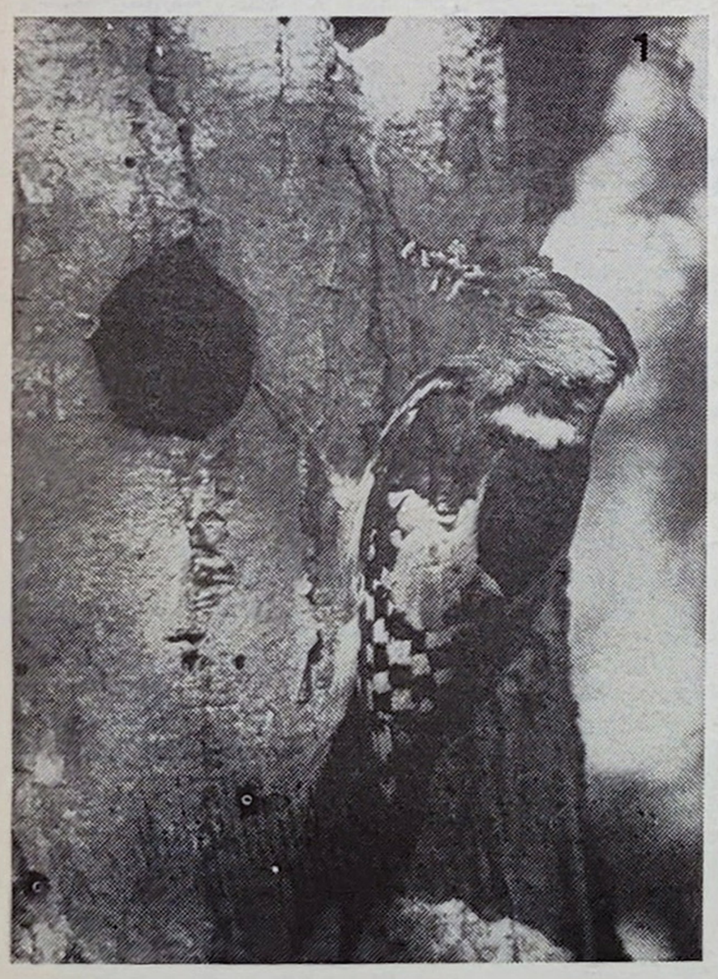

1. Dzięcioł średni (dość rzadki gatunek dzięcioła) przy dziupli z pisklętami. Dziupla została przezeń wykuta w starym grabie na wysokości 16 m

2. Młody drozd śpiewak. Wbrew pozorom – wcale nie jest łatwo sportretować takiego podlotka, który robi wszystko, aby ujść człowiekowi i kamerze

3. Pokrzewka jarzębata karmiąca swe pisklęta. Jej gniazdo, ukryte w krzewach, zazwyczaj jest źle, pstrokato oświetlone, ale – jak widać – i przy nim można się dorobić b. czytelnych zdjęć, zwłaszcza, jeżeli dopracuje się odbitkę przez maskowanie i kadrowanie

KOMPUTER TROPI AWARIE SIECI TELEFONICZNEJ

USA (PAP). Plagą sieci telefonicznych są zakłócenia uniemożliwiające zrealizowanie połączenia. Od wielu lat specjaliści wielu dziedzin badają możliwości zapobieżenia lub ograniczenia tego typu awarii. Amerykański system 4-Tel sprawdza w ciągu nocy 1,5 miliona połączeń. System instalowany jest obecnie w większości amerykańskich central telefonicznych, w których bada połączenia centrali z abonentem i odnajduje uszkodzone miejsca. Dane o uszkodzeniach zapamiętywane są przez komputer sterujący systemem. Raporty z kilku central tworzą mapę uszkodzeń, przekazywaną służbom naprawczym wraz z zalecaną kolejnością naprawy i dokładnym określeniem typu awarii. W ten sposób praca konserwatorów sieci została znacznie usprawniona. (**tok**)

Konkurenci z telewizji kablowej – drżą!

KAŻDY BĘDZIE MÓGŁ ODBIERAĆ PROGRAM TV bezpośrednio z satelity

USA (PAI). Firma Satelite Television Technology opracowała i upowszechnia technikę budowy tanich (w cenie zaledwie 700 dolarów) naziemnych stacji odbierających bezpośrednio telewizję satelitarną. W połowie lat siedemdziesiątych koszt takiej stacji wynosił 100 tys. dolarów. Ponieważ od ubiegłego roku zniesiono w USA zakaz posiadania zezwoleń na budowę takich stacji, firmy eksploatujące telewizję kablową, poważnie obawiają się o swoją przyszłość. (**tok**)

DLA PANI OD MATEMATYKI DWÓJA Z TWIERDZENIA PITAGORASA

PAP (USA). Falę protestów wywołał projekt psychologa, dyrektora szkoły dr Johna Garetta ze stanu Colorado w USA.

Zaproponował on, aby uczniowie wystawiali oceny swoim nauczycielom. Miały tu być brane pod uwagę takie sprawy, jak nudne czy ciekawe wykłady, przygotowanie nauczyciela do prowadzenia lekcji, jego starania o postępy w nauce słabszych uczniów itp.

Wystawianiu takich cenzurek sprzeciwili się nie tylko nauczyciele, ale również rodzice.

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Oto kolejny „plon" z pokrzyżowania ortografii z matematyką. Wymyśliła **Iwona Kretkowska:**

WA(N)²NA
300TKI
200RKI
ZOBA4SUNKI
WŁÓŻ PO2ZON PA1OORAŁ
3MAJ PO2LIZKĄ
JASI8IĘ SIEJE

Małgosia Kilkowska proponuje inną zabawę: wynajdywać słowa zawierające różne zwierzątka. Oto przykłady:

kierOWCA
zaKOŃczenie
zLEW
LISt
droPSY
sPAWacz
uLEWa
oKOŃ

ANEGDOTKI NADESŁANE

– Tyle razy mówiłem ci, synku, żebyś nie bawił się zapałkami!

– Ja się nie bawię, tato. Zapalam papierosa...

★

– Stop! Służba drogowa! Gdzie to obywatel kierowca ma światełka odblaskowe?

– O rety! Głupstwo światełka! Gdzie jest moja przyczepa?

★

– Drogie dzieci, wynalezienie pieniędzy zawdzięczamy Fenicjanom...

– To dobrze, że wynaleźli, ale dlaczego tak mało?!

★

– Kaziu, jak brzmi w liczbie mnogiej słowo „niemowlę"?

– Bliźnięta.

★

Na listę Rzepklubu wpisuję: **Iwonę Kretkowską, Małgosię Kilkowską, oraz Kasię Szajewską, Darka Janeckiego, Mariolę Tyburską,** którzy nadesłali anegdotki.

Do zobaczenia!

Wasz **Rzep**

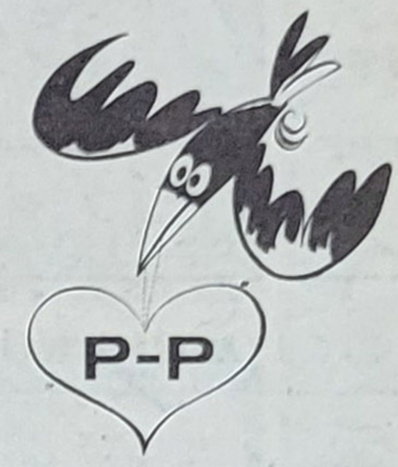

POMOC – PRZYJACIOŁOM!!!

Nadeszły ciężkie czasy dla wszystkich, ale szczególnie dla naszych latających i czworonożnych przyjaciół. Wyobraźcie sobie tylko: mroźna, śnieżna i wietrzna noc, a wy siedzicie skuleni w jakimś kącie pod gołym niebem i do tego jeszcze głodni!

Albo: piętnaście stopni mrozu, w misce pusto, a wy uwiązani krótko na łańcuchu do dziurawej budy... Koszmar!

A tymczasem to nie sen. Wokół was, sytych i dobrze ubranych pełno teraz nieszczęścia i głodu. Pomóżcie przyjaciołom!

RZEPKLUB

Zamieszczone obok żarty rysunkowe nadesłali: **Joanna Koszyk**, którą zapisuję do klubu i **Darek Małyska** – członek Rzepklubu.

— Wedle mojej opinii, panowie, jest to skutek życia w ciepłarnianych warunkach

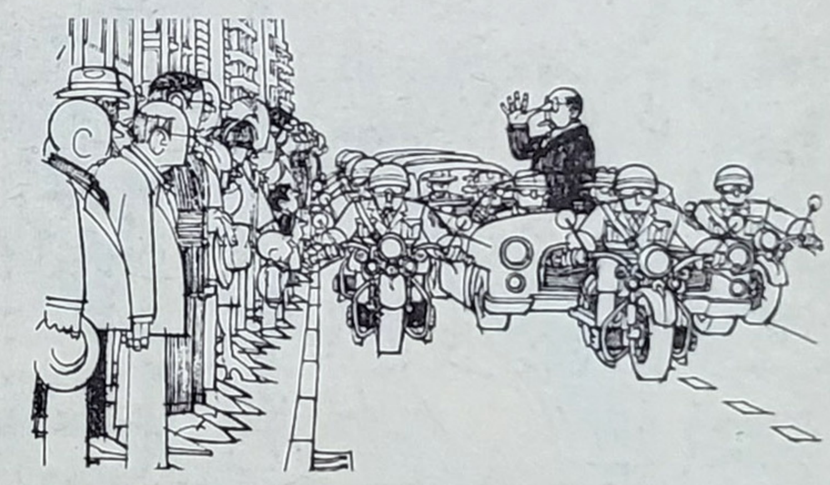

w nim ziarno wątpliwości co do winy robaczywej Paulinki. Tak, uczyniła to. Własnoręcznie.

Ciekawe, dlaczego.

No, bo przecież obiecała Paulinie, że się za nią wstawi. Więc się wstawiła – choć w głębi duszy była pewna, że perfidna Paulina zdolna jest do imputowanych jej czynów.

Prawdopodobnie Krzysio i Paulinka pogodzą się jednak.

Okazuje się, że wcale nie trzeba czytać czegokolwiek poza lekturami obowiązkowymi. Natomiast koniecznie trzeba być prześliczną i miłą. Może nawet lojalność nie jest taka niezbędna.

Ciekawe, czy się pogodzą.

Dobrze się stało, że ktoś zadzwonił do drzwi, bo Ida już-już miała się rozbeczeć.

* * *

Podświadomie spodziewała się ujrzeć na progu Krzysia. Ale kiedy otworzyła drzwi i jej wzrok, skierowany na wysokość metra osiemdziesiąt, uderzył w mroczną pustkę, omal nie krzyknęła. Musiała opuścić oczy, by dostrzec na progu dwie żółte pelerynki, a w nich braci Lisieckich.

Zaskoczenie było spore. Czego oni tu szukają?

Popatrzyli na Idę w milczeniu, oczy ich były jak zwykle bez wyrazu.

– No? – spytała Ida niezachęcająco.

Zignorowali ją. Bez słowa wcisnęli się do przedpokoju i stanęli pod lustrem, ramię przy ramieniu, z wyrazem niezmąconej obojętności na bladych twarzyczkach.

– No, co jest? – warknęła Ida, którą świerzbiły ręce. Przyjrzała się Lisieckim z nietajoną niechęcią.

– Zawołaj tę panią – polecił jej starszy, Jarek.

– Kogo? Mamę? – wypytywała Ida. – Mamuś! Pozwól tutaj!

Mama wyszła z pokoju stukając drewniakami. Zdziwiła się widokiem chłopców.

– A, to wy? Słucham, o co chodzi? Czy Ida znów kogoś pomalowała?

Braciszkowie spojrzeli po sobie, ujemnie oceniając rodzaj dowcipu, jaki im zademonstrowano.

– Proszę – przemówił Jarek, wyciągając w stronę pani Borejko rękę z kopertą.

– „Szanowna Pani!" – przeczytała mama z kartki, do której doczepiono spinaczem trzy banknoty stuzłotowe. – „Obliczyłyśmy z siostrą jeszcze raz i to jednak wynosi pięćset złotych. Z poważaniem – B. Lisiecka".

– Niech ja skonam – powiedziała Ida z podziwem.

– Cicho mi bądź – mruknęła mama Borejko. – Chłopcy, podziękujcie mamusi. To doprawdy miło z jej strony.

Lisieccy stali wciąż bez ruchu i bez dźwięku, więc mama popatrzyła pytająco na Idę, potem uniosła brwi i dodała:

– A może chcielibyście zostać u nas chwilę? Jeśli tak, to proszę. Zdejmijcie peleryny i idźcie do dzieci. Bardzo ładnie się tam bawią...

Jarek i Marek ciężkim krokiem podeszli do otwartych drzwi pokoju, po czym krytycznie popatrzyli na kłębiące się stadko. Kwiki i wybuchy śmiechu wypełniały mały pokoik. Ktoś walił klockiem o podłogę, jakieś samochody okropnie warczały, Nutria musztrowała maluchów ze swadą kaprala, a cały domek z mebli chwiał się niebezpiecznie w posadach, ponieważ mościła się w nim gruba Pulpecja. Dzieci, poowijane starymi firankami, przebiegały z wrzaskiem z kąta w kąt, jakaś zezowata dziewczynka weszła na stół i udawała, że śpiewa do mikrofonu, którym był plastykowy kręgiel.

– E, tam, chała – mruknął starszy Lisiecki krytycznie. – Idziemy – pociągnął brata za rękaw i obaj, krokiem znużonych wędrowców, powoli poszli do drzwi wyjściowych.

– Dobranoc – przypomniał sobie Jarek i ukłonił się zdawkowo. Marek też wykonał coś w rodzaju niechętnego ukłonu, po czym, nie mogąc najwidoczniej odmówić sobie tej przyjemności przynajmniej na zakończenie, z całej siły zatrzasnęli za sobą drzwi.

Środa 15.8.79

– U Lisieckich było dzisiaj pogotowie – powiedziała pani Basia owym szczególnie znaczącym tonem, jakim zazwyczaj mówi się o chorobach i nieszczęściach.

– Tak? Ciekawe za czyją przyczyną? – mruknęła Ida, popijając herbatę „Popularną" z porcelanowej filiżanki sięgając po domowe wafle. – Może Marek i Jarek tym razem pomalowali na zielono własną matkę?

– Nie, jeśli pomalowali, to na pewno nie matkę – matka jest w NRD. Pojechała na tydzień, odwiedzić męża. Ta jej gruba siostra zamieszkała u niej, żeby się zająć chłopcami.

– Wobec tego pogotowie przyjechało po chłopców – stwierdziła Ida domyślnie. – Ta gruba nie mogła ich obu naraz upilnować.

Cdn.

ATOMEK

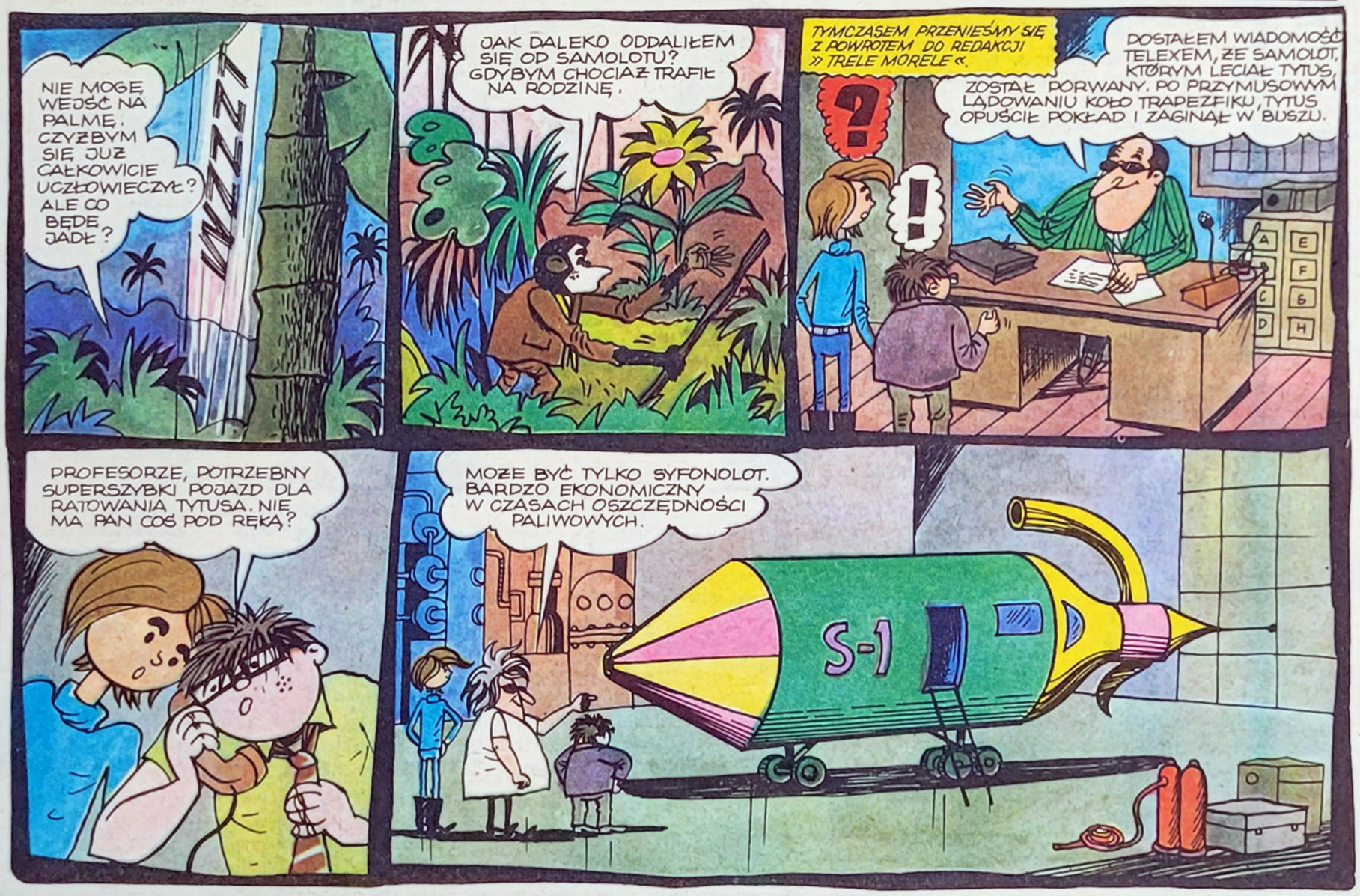

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

TYTUS, Romek i A'TOMEK

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556
UKAZUJEMY SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, Teresa Maciszewska, Jerzy Majka (redaktor naczelny), Krzysztof Masłoń, Krzysztof Potrzebnicki, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk, Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)
TELEFONY
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEKS 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBPXV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś
Zam. 7783/G O-37
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Małgorzata Musierowicz

30

IDA SIERPNIOWA

— Oczywiście zdrowo przesadzasz, Iduś – powiedział Krzysio z pewnym niezadowoleniem. Przecież ja go widziałem. Nie wygląda na wieszcza.

– Powierzchowność o niczym nie świadczy, Krzysiu, skarbie.

– No, to prawda... Paulina na przykład jest prześliczna i można by przypuszczać, że jej dusza podobna jest do kwiatu. A tymczasem... jeśli to jest kwiat, to na wskroś robaczywy.

– Na wskroś robaczywy! – wybuchnęła śmiechem Ida. – Co ona ci zrobiła, człowieku! Teraz to ty przesadzasz.

– Przesadzam? Cha, cha, cha! No to posłuchaj – rzekł Krzysztof i w tym momencie właśnie znaleźli się pod bramą Idy. Usiedli na wielkiej betonowej donicy z szałwią. – Chodziliśmy ze sobą całą wiosnę, nawiasem mówiąc, z nią o niczym nie można porozmawiać, bo rozmowy ją nudzą. Nie czyta nic poza lekturą obowiązkową. Na szczęście lubi kino. Nie byłbym zresztą taki wymagający. Niechby i nie czytała, niechby tylko była miła i lojalna. A ona nie była.

– Nie była?

– Nie była, Iduś – rzekł Krzysio drżącym nieco głosem. – Umawiała się jednocześnie ze mną i z moim przyjacielem. I wszystko mu ze śmiechem opowiadała. On mi to wyznał na początku wakacji. Rozumiesz – byliśmy przyjaciółmi. I on już nie wytrzymywał tej sytuacji. Ale ona! Ona! – ona mogłaby tak całymi latami. A kiedy jej powiedziałem, że wiem wszystko, to zgadnij, co zrobiła?!

Ida wysiliła wyobraźnię.

– Bo ja wiem – powiedziała wreszcie.

– Wyparła się wszystkiego! – zawołał Krzysio triumfalnie. – Powiedziała, że to mój przyjaciel kłamał. I co ty na to?

– No, no, no.

– Teraz ona natrętnie za mną lata i domaga się, żeby ją wysłuchać. Nie mam ochoty. Było, minęło. Wszystko skończone. – Tu głos Krzysia drgnął wyraźnie i załamał się.

Ida spojrzała na niego ze współczuciem.

– A może faktycznie ten chłopak kłamał? – spytała pocieszająco.

– Ale co ty mówisz?! On?! To wykluczone.

– Patrz, ale ty nie dajesz Paulinie żadnej szansy. Nie chcesz nawet wysłuchać jej racji.

– Jakich racji, jakich racji!

– Osądziłeś ją na podstawie poszlak. A gdzie dowody? Tak, Krzysiu, przemyśl to sobie. Ostatecznie jesteś twórcą Zasady Szwungszajby. A to zobowiązuje.

Pożegnała Krzysia uściskiem prawicy i energicznie poszła do domu.

W domu jak zwykle gwizdał czajnik, wszędzie był hałas, śmiech, wrzawa i goście. W pokoju rodziców stryj Józeczek rozmawiał z ojcem na tematy bibliofilskie. Kuchnię okupowały mama z ciotką Felą, wymieniając poglądy na temat powideł. W zielonym pokoju siedzieli Rysiek, Gaba i Joanna, a u dziewczynek odbywała się piekielnie hałaśliwa zabawa w budowanie domku z mebli i koca, przy czym budowniczych było około pięciorga. W cieniu falującego koca dawało się rozróżnić szczęśliwe twarzyczki różnych podwórkowych brzdąców, którymi Nutria dyrygowała z talentem, czując się nareszcie ważną, starszą koleżanką.

Ida poszła do łazienki. Umyła ręce i przygładziła swoją nową fryzurę, pooglądała swoje miny w lustrze i sama nie wiedząc jak i kiedy, popadła w zadumę o zabarwieniu sercowym. Na sercu jej, mianowicie, jakoś rzewnie. Krzysio. Klaudiusz. I tak dalej. Niesprecyzowane uczucia kłębiły się w jej sercu sprzecznymi falami i Ida, patrząc w lustro po raz któryś z rzędu – lustra bowiem, wbrew szklanej swej naturze, wywierały na Idusię wpływ magnetyczny – dostrzegła, że się rumieni. Reakcja ta była prawidłowa, ale niejasny był dla Idy przedmiot tych rumieńców. Kto? Klaudiusz? Krzysio? Niby dlaczego ten a nie tamten? Niby dlaczego tamten a nie ten? Niby dlaczego którykolwiek z nich? Klaudiusz był przecież nieodwołalnie stracony, a Krzysio zachowywał się zawsze w sposób czysto koleżeński (niestety). W dodatku ona sama dziś posiała

Dokończenie na str. 7